

Józef Tylka

Góral z Bachledówki

Ksiądz Prymas swoje wakacje spędzał w lipcu. Przyjeżdżał wtedy na Bachledówkę i tam wypoczywał. Trwało to około 7 lat. Codziennie w tym miesiącu odprawiana była Msza św., ludzie przychodzili licznie do kościoła. Po Mszy św. wychodził do ludzi, rozmawiał z nimi, dzieciom rozdawał cukierki i czekoladki. Wszyscy kochali go nie tylko za hojność, ale głównie za dobre, ciepłe słowo wypływające z serca.

Ojciec Ferdynand opiekował się Prymasem. Bardzo martwił się o niego w tych czasach stalinowskich, kiedy wszędzie pełno było ubowców. Toteż każdego wieczoru niektórzy ludzie ze wsi (Jan Łacek, Jan Zarycki, Andrzej Łacek i ja) pilnowaliśmy go w razie jakichś napadów. Pamiętam nawet, jak kiedyś w nocy jakiś samochód bardzo późno wyjeżdżał na Bachledówkę. Słyszac to biegliśmy ze wsi co sił w nogach do kościoła. O dziwo byliśmy pierwsi. Do Kardynała przyjechał wtedy biskup częstochowski. Trochę nie dowierzając mu, wylegitymowaliśmy go. Wszystko się zgadzało, więc wpuszcziliśmy go do pokoju. Później Prymas był nam bardzo wdzięczny za ochronę i zachowane środki ostrożności. Po tym zdarzeniu nocowaliśmy u Michała Łacka, koło kościoła. Kiedy wakacje dobiegały końca, na pożegnanie śpiewaliśmy mu, że zbudujemy dla niego drogę na Bachledówkę i z koszykiem oscypków odwiedzimy go w Warszawie. Pewnego roku udało nam się to zrealizować.

Najpierw miało nas jechać tylko dwóch, ale pojechało nas ze dwudziestu. Był nam bardzo wdzięczny za dotrzymane słowo. Ucieszył się z oscypków i dwóch psów bacowskich. Dał nam przewodnika, który oprowadził nas po Warszawie. Martwił się tam tylko o jedno, że pojedziemy głodni do domu, bo strasznie się krępowaliśmy i jedli mało.

Pewnego lipcowego dnia we wsi spalili się nasi sąsiedzi Molki „Macio-ski”. Prymas, gdy dowiedział się o tym, zaraz pośpieszył z pomocą i ofiarował im dużą kwotę pieniędzy. Kiedy zaś Bachledówkę nawiedził grad, Kardynał chodził po polach i płakał z bólu nad niedolą ludzi.

W któreś wakacje ks. kardynał Stefan Wyszyński nie przyjechał. Lekarz nie pozwolił mu na wyjazd w góry. Od tej pory wakacje spędzał poza Warszawą. Kiedy z przyczyn ekonomicznych musiałem wyjechać do sióstr do Komańczy, zakon ten odwiedził nasz Prymas. Było tam pełno gości. Witający go ludzie ustawili się dwoma rzędami. Ja stałem z boku. Wszyscy podawali mu ręce i rozmawiali krótko. Gdy mnie zobaczył, zaraz rozpoznał. Podeszedł, uściśnął gorąco

i wykrzyknął głośno: „Góral z Bachledówki!” Chwilę rozmawialiśmy. Wszyscy ludzie byli nieco zdziwieni tak serdecznym powitaniem. Bardzo ukochał Bachledówkę, prostych ludzi tam żyjących i trudno mu było rozstawać się z nami.

Marta Zarycka

Moi rodzice byli na pogrzebie kardynała Stefana Wyszyńskiego. Rodzice często opowiadali o swoich wrażeniach. Z naszej parafii, z Bachledówki, była delegacja 6 osób z o. Leonem Chałupką. Dołączyli do delegacji z Zakopanego i Nowego Targu. Były dwa autobusy pełne ludzi. W Warszawie na placu Zwycięstwa była Msza św. żałobna za duszę Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Było bardzo dużo ludzi. Pełne ulice Warszawy i cały plac Zwycięstwa. Ludzie szli powoli za trumną. Na ulicach było bardzo dużo kwiatów, które ludzie rzucali przed trumną, w której nieśli Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Cały plac Zwycięstwa był po prostu wyścielony kwiatami. Szło się jak po dywanie. Delegacja górali, ta, w której był mój tatuś, niosła kilkadziesiąt metrów trumnę z Prymasem Tysiąclecia Stefanem Wyszyńskim. Trumna z ciałem Prymasa przekazywana była kolejnym delegacjom różnych grup ludzi, z którymi miał bliski kontakt. Mama mówiła, że takiej uroczystości w życiu jeszcze nie widziała.

o. Ferdynand Pasternak OSPPE

Moje wspomnienia z wakacji Jego Eminencji ks. kard. Stefana Wyszyńskiego na Bachledówce

W czasie mojego rektorstwa na Bachledówce, czyli około 1964 r. kilkakrotnie ówczesny generał naszego zakonu o. Jerzy Tomziński, nadmieniał mi i uprzedzał, że J. Em. ks. kard. Wyszyński Prymas Polski, który dotąd spędzał swoje letnie wakacje w Stryszawie (powiat suski), pragnie przyjechać na Bachledówkę i tu powinniśmy mu z ramienia zakonu zorganizować miesięczny pobyt w lipcu.

Bachledówka, na którą składał się stary drewniany dom, tzw. „willa” parterowa z trzypokojowym poddaszem oraz drugi dom drewniany, który dla kleryków naszych rozbudował systemem gospodarczym ówczesny rektor Bachledówki o. Kajetan Raczyński jako letni budynek gospodarczy (na inny

rodzaj budowli ówczesne władze cywilne nie pozwalały), składał się z kilkuna-
stu pokoi wakacyjnych. Dopiero w obliczu możliwości przyjazdu ks. Prymasa
i towarzyszących mu osób na Bachledówkę na miesiąc, ówczesny ekonom ge-
neralny o. Celestyn Tarka zaczął instalować w obu „willach” kanalizację, wodo-
ciągi oraz system centralnego ogrzewania. Na mnie zaś jako na rektorze ciążył
obowiązek zagospodarowania pokoi w niezbędne sprzęty: łóżka, biurka, szafy
itp. tak, iżby mogło się tam zatrzymać ok. 20 osób towarzyszących Prymasowi,
w tym także tzw. „prymasówki” z Instytutu Ślubów Narodu z mgr Marią Okoń-
ską – generalną przełożoną Instytutu, dla którego formacji ascetycznej i intelek-
tualnej poświęcał ks. Prymas czas swoich dorocznych wakacji, erygując Instytut
kanonicznie i nadając mu prawną organizację.

Zacząłem więc jeździć do Zakopanego i otrzymawszy pieniądze od ojca
generała wyposażać pokoje naszych domów w niezbędne sprzęty. Dotyczyło to
także bardzo skromnego pokoju o. rektora, w którym miał zamieszkiwać ks.
prymas. Trzeba było więc zbudować obok pokoju łazienkę, dotąd bowiem łą-
zienka była na dole budynku, postawiona na sposób wiejskich ubikacji.

Terminy przynaglały. O. generał powiadomił, że wczesną wiosną (chyba
1964 lub 65 roku) ks. Prymas przyjedzie na 1 dzień na Bachledówkę i zorientuje
się w sytuacji. Na wyznaczony dzień miałem wyjechać dwiema bryczkami gó-
ralskimi do Zębu, gdzie ks. Prymas przesiądzie się z auta, drogi bowiem były tu
polne, słabo utwardzone i wyjazd autem na górę wydawał się niemożliwy.

Nie udał się jednak ten rekonesans. Dzień był mglisty, po deszczu
i gdy ja czekałem na bocznej drodze koło kościoła w Zębie, auto ks. Prymasa,
którym kierował p. Stanisław Maciejak i gdzie jechał także o. generał i kilka
towarzyszących osób, przemknęło niepostrzeżenie w kierunku Bachledówki,
nie zwracając uwagi na moje nawoływania. Zatem, gdy ja później dojechałem
bryczkami na górę, ks. Prymas już tam przebywał, dowieziony w niemal cudow-
ny sposób na sam wierzch góry.

Ale prognozy nie były obiecujące. Pochmurno, zimno, nadto wiosenne
roztopy, płaty śniegu w lesie. Byłem więc przekonany o negatywnej jego ocenie
zdatowności tego miejsca na miesięczny wakacyjny odpoczynek. Ks. Prymas prze-
nocował jednak w tych prymitywnych warunkach i po Mszy św. oraz śniadaniu
wyszliśmy wszyscy na zewnątrz pod las, by zobaczyć widoki gór i najbliższe
otoczenie. Ks. Prymas nie zdradzał swoich ocen i po skromnym obiedzie po
południu odjechał. O. generał sygnalizował jednak z Jasnej Góry, abym poczy-
nił niezbędne przygotowania, przyjazd bowiem ks. Prymasa dojdzie do skutku.
Oczywiście trzeba było przygotować nie tylko miejsca, ale i okolicznych górali,
którzy doceniając swe wyróżnienie, mieli roztoczyć opiekę nad osobą i bezpie-
czeństwem ks. Prymasa na tym pustkowiu i odludziu.

Były to bowiem trudne czasy walki władz z Kościołem i ks. Prymasem,
i trzeba się było liczyć z każdą możliwą prowokacją. Istotnie, wiadomość o moż-
liwym przyjeździe ks. Prymasa dostała się jakoś do władz, gdyż zaczęły się inwi-
gilacje i regularne penetrowanie samej Bachledówki i okolicznych lasów przez
nieznanych mi na tym terenie osobników tak, iż zacząłem się obawiać, jak bę-
dzie można zapewnić Prymasowi osobiste bezpieczeństwo. Oczywiście sprawę
przedstawiłem góralom, a oni upewnili mnie, bym był spokojny, oni bowiem
czuwać będą nad ks. Prymasem dzień i noc. Miałem nawet zabawne incydenty,
bo gdy pewien funkcjonariusz zaczął codziennie z psem inwigilować nasz te-
ren, zaniepokojeni górale przyszli do mnie z zapytaniem, czy mają tego faceta
„postraszyć” tak, by przestał już ich niepokoić. Przeraziłem się, bo wiedziałem,
że ten, kogo oni „postraszą”, nie ma prawa wstać i obawiałem się w związku
z tym stokroć gorszych następstw. Stanowczo zabroniłem się zajmować tą spra-
wą. Po pewnym czasie osobnik ten przestał chodzić. Ale górale stale czuwali
nad Bachledówką, wyznaczając sobie dyżury dzień i noc.

Wreszcie nadszedł wyznaczony i upragniony dzień lipca. Góry przywi-
tały ks. Prymasa piękną pogodą. A gdy pogoda była piękna – to jak na dłoni
odsłoniły mu się wszystkie szczyty, jaśniejące w słońcu poczynając od Łom-
nicy i Lodowego, które rozpoczynają pasmo Wysokich Tatr (ponad 2600 m)
od wschodu, poprzez Świnicę, Kasprowy Wierch, Czerwone Wierchy i inne
szczyty po zachodniej stronie Tatr. Góry były w pogodne dni tak blisko, iż wy-
dawało się, że można zrobić jeden krok z Gubałówki, by znaleźć się na górskich
ścieżkach, prowadzących na szczyty. Można było z płaskiego wzgórza Bachle-
dówki obserwować całymi godzinami ich przedziwną urodę, grozę i bezmiar
milczenia, które od gór szło i udzielało się człowiekowi.

Ks. Prymas lubił, spacerując po wierchu, wpatrywać się w nie, rozma-
wiać z nimi i przypominać sobie samotne wędrówki po ich przełęczach i doli-
nach. W czasie bowiem okupacji niemieckiej, schronił się w górach, konkretnie
w Zakopanem, unikając uwięzienia i wywózki do obozu, tak jak dziesiątki jego
kolegów księży z diecezji wrocławskiej, którzy zginęli wraz z biskupem Kozalem
w obozach śmierci. Widać, że był zadowolony z tej kontemplacji gór, dotychczas
bowiem spędzał wakacje na płaskowyżu Stryszawy, w zwykłej góralskiej wiosce,
gdzie nie było dla oczu żadnych perspektyw i widoków. A tymczasem panorama
gór widziana z Wierchu Bachledówki była cudowna.

Tak więc płynęły piękne dni, zwłaszcza gdy była pogoda. Ale nawet
w pochmurne dni bliskość gór i czyste górskie powietrze uskrzydlało człowieka
i przenosiło bliżej nieba. Chodził więc po wierchu z różańcem w rękę, także po
lesie, nawet w dni pochmurne, byle nie padał deszcz.

Każdy dzień wakacji kształtował się następująco: dość wczesna pobudka, już bowiem ok. godz. 5 słyhać było w pokoju ks. Prymasa kroki i samotną pracę w przywiezionych z sobą aktach, zwłaszcza w godzinach rannych, kiedy był wypoczęty. O godz. 7.30 schodził do kaplicy i rozpoczynała się Msza Św., w której wszyscy uczestniczyli, także górale. Po dziękczynieniu wszyscy schodzili na śniadanie, które trwało dość długo, czytało się bowiem po śniadaniu jakąś lekturę, a potem wszyscy przechodzili na werandę, gdzie miało miejsce tzw. studium albo seminarium, czytanie książki z zakresu historii Kościoła lub historii Polski połączone z dyskusją. Ks. Prymas bardzo skrupulatnie przestrzegał tego studium, choć, gdy była pogoda, serce uczestników rwało się do lasu i odpowiadało na zew gór.

Po seminarium ks. Prymas wychodził na spacer do lasu i wszyscy rozchodzili się aż do obiadu. Obiad trwał zwykle też dość długo, czytano bowiem po obiedzie jakąś lekturę i ks. Prymas ukazane w lekturze problemy wyjaśniał, nawiązując często do spraw aktualnych i współcześnie przez wszystkich przeżywanych. W Polsce odbywała się bowiem peregrynacja jasnogórskiego obrazu Matki Bożej i towarzyszące jej perypetie w okresie milenijnym, kiedy władze świeckie urządzały regularnie swoje wiece i uroczystości równocześnie z uroczystościami kościelnymi. Przyszedł nawet później czas, kiedy na drodze swojej wędrówki po Polsce aresztowany został obraz Nawiedzenia i uwięziony na Jasnej Górze. Ileż było wspomnień z tych uroczystości, w których przecież także uczestniczyły czynnie członkinie Prymasowskiego Instytutu.

Po obiedzie i odpoczynku zbieraliśmy się ok. 17. przed kolacją w kaplicy, gdzie wszyscy uczestniczyli w odmawianiu brewiarza. Następnie schodziliśmy na kolację, a po niej następowała dość długa lektura, lżejsza, z klasycznych dzieł literackich, pisanych w gwarze góralskiej (np. Tetmajer „Na Skalnym Podhalu” itp.) ilustrowane często przez ks. Prymasa jego uwagami wypowiedzianymi w doskonałej góralszczyźnie. Gdzie on się tego dialektu tak doskonale nauczył – wychodziliśmy wszyscy z podziwu. Bo przecież my, mieszkańcy Bachledówki, stykaliśmy się na co dzień z autentyczną gwarą góralską i doskonale znaliśmy jej specyfikę.

Po kolacji często, zwłaszcza gdy była pogoda, wychodziliśmy na spacer na wierch, gdzie góry uśmiechały się do nas w zachodzącym słońcu. Oczywiście spacerując śpiewaliśmy często różne religijne i harcerskie pieśni lub odmawialiśmy różaniec. Dopiero gdy się już zupełnie ściemniło, rozchodziliśmy się na spoczynek, dbając o ciszę nocną, by już zbytnio nie hałasować i pozwolić odpocząć ks. Prymasowi.

Pamiętam też, jak nieraz w pogodne dni, wybieraliśmy się wszyscy z wycieczką „na wierzbowce”. Pozostały przepiękne zdjęcia, jak wśród góral-

skich pól Bachledówki ks. Prymas jak Dobry Pasterz idzie z laską na przedzie, a my wszyscy sznurkiem za nim, jak ewangeliczne owieczki wędrujemy wąskimi, polnymi ścieżkami, by nie deptać góralskich łąk, śpiewając pieśni.

Prymasowi towarzyszyło zwykle w czasie wakacji wiele osób – przede wszystkim jego kapelani, najpierw ks. Władysław Padacz, później ks. Stanisław Kotowski oraz zawsze jego spowiednik – pallotyn ks. Edmund Boniewicz. Był też zawsze z ks. Prymasem jego kierowca p. Stanisław oraz dość liczny zastęp członków Instytutu. Z paulinów, oprócz mnie, rektora i gospodarza Bachledówki, uczestniczyli często o. generał Jerzy Tomziński, o. Teofil Krauze i o. Paweł Kosiak, z braci zaś posługujących w kaplicy i refektarzu br. August Bojanowski i br. Wenanty Kruszewski, których później po kilku latach i po odbytych studiach na ATK ks. Prymas pozwolił dopuścić do święceń kapłańskich i do dziś pracują oni bardzo owocnie na Jasnej Górze. Kuchnię i pokoje gościnne obsługiwały niezmordowane siostry honoratki, wśród których na czoło wysuwała się siostra Ottona Kędzior, siostra Celina, siostra Alojza i inne siostry sprowadzone do pomocy na czas wakacji, których imion już nie pamiętam.

Oczywiście, górale zaopatrywali nas szczerze w mleko, masło, sery, jaja, a nawet niekiedy mięso, gdy była potrzeba. Trochę prowiantu przywożono na czas wakacji z Jasnej Góry. Niczego nam nie brakowało. A trzeba pamiętać, że ks. Prymasa odwiedzali zwykle liczni goście, zwłaszcza, gdy zbliżał się dzień św. Stefana (2 VIII). Do gości bardzo oczekiwanych i upragnionych należał najpierw ordynariusz miejsca, Arcybiskup Krakowski ks. kard. Karol Wojtyła, regularny uczestnik prymasowskich wakacji, który przybywał co roku na kilka dni przed imieninami. Oprócz niego przyjeżdżali: ks. abp Antoni Baraniak, ks. bp Bronisław Dąbrowski, sekretarz Episkopatu, ks. prałat Andrzej Deskur i inni dostojnicy. Prawie corocznie przybywał do Ks. Prymasa z Orchard Lake (USA) ks. prałat Zbigniew Peszkowski, były więzień z Kozielska, który cudem uniknął śmierci w Katyniu. Ks. Peszkowski uweselał nam zwykle pobyt, biorąc udział nie tylko w modlitwach, ale i w śpiewach, dyskusjach i spacerach. Tak dobrze pamiętamy jego Moniuszkowską arię „Szumią jodły na gór szczycie” śpiewaną jego dźwięcznym głosem.

Przy tej okazji wspomnę, jak górale troskliwie czuwali nad ks. Prymasem i jego bezpieczeństwem, o czym przekonałem się pewnego razu w sposób zdumiewający. Ks. Peszkowski jechał taksówką na Bachledówkę z Zakopanego późnym wieczorem na światłach z Zębu na wierch. Czuwający nad ks. Prymasem górale dostrzegli od razu światła samochodu zdążającego z Zębu na Bachledówkę i podejrzewając, że może „czynniki bezpieczeństwa” jadą aresztować ks. Prymasa – natychmiast zorganizowali obronę. I zanim samochód dojechał z Zębu na nasz wierch, witając ks. Peszkowskiego z niepokojem zauważyłem,

jak w pobliskich zaroślach roi się od postaci góralskich. Kiedy oni zdążyli w tak krótkim czasie dobiec na górę, to już ich tajemnica. W każdym razie uspokoiłem ich, że nie ma niebezpieczeństwa i by spokojnie wracali do swoich domów. Sprawdziło się to, co później (w roku ubiegłym) Ojciec Święty powiedział do górali w Zakopanem, że „na was zawsze może liczyć”.

Ks. Prymas przy różnych okazjach nie szczędził uwag katechetycznych i duszpasterskich. Czynił to przy stole w refektarzu, w kaplicy przy brewiarzu, w czasie codziennych Apeli Jasnogórskich w kaplicy, niejednokrotnie z okazji codziennej Mszy Św., ale w sposób szczególny zwracał się do licznie zgromadzonego ludu Bożego w każdą niedzielę i święta, głosząc homilię po ewangelii. Nieraz wydawało mi się, że ks. Prymas mógłby się w czasie swego odpoczynku dyspensować od kazań, jednak jego gorliwość duszpasterska nakazywała mu głosić słowo Boże ludowi w trudnych warunkach zatłoczonej góralskiej kaplicy. W Mszach św. uczestniczyli nie tylko starsi, ale zwłaszcza wielka ilość młodzieży i dzieci. Te ostatnie przybiegały codziennie wieczorem do kaplicy na Apel Jasnogórski, po którym dostawali od ks. Prymasa cukierki.

Lubił również ks. Prymas wchodzić w osobiste rozmowy z góralami, gdy chodził po lesie lub po polach, na których w dni powszednie pracowali. Bardzo chętnie wdawali się w rozmowę z ks. Prymasem, a i on bardzo je sobie cenił. Znajdował bowiem u tych prostych ludzi głęboką mądrość religijną i patriotyczną, na którą często powoływał się w kazaniach i rozmowach z nami.

Pamiętam, jak bardzo był wzruszony, gdy pewna stara góralka, którą wszyscy znali z pobożności i mądrości i zwali „Babką Lachówką”, objęła go serdecznie (jak to było w ich zwyczaju przy powitaniu) i wypowiedziała do niego te słowa: „O jak to dobrze, że Matka Boża ocaliła Was w więzieniu i że tam przez tak długi czas prześladowając, nie popsuli Wam głowy”. Ks. Prymas niemal ze łzami powtarzał te jej słowa i często opowiadał nam, jak unikał świadomości wszelkich pastylek, które dodawano mu do jedzenia, podejrzewając podstęp. Powszechnie bowiem było wiadomo jak to władze śledcze preparowały w więzieniu bezbronnych ludzi, zwłaszcza biskupów i księży, że rzekomo w śledztwie wypowiadali się przeciw władzy kościelnej i papieżowi, a nawet przyznawali się do niepopelnionych przestępstw. My także obawialiśmy się o ks. Prymasa w więzieniu, by przypadkiem nie zmuszono go do samokrytyki i odejścia od drogi Kościoła. Jak za św. Piotra w pierwszych wiekach, tak w tych trudnych latach cały Kościół w Polsce modlił się za ks. Prymasa, a zwłaszcza modlitwy te nie ustawały na Jasnej Górze z głęboką wiarą, że Pani Jasnogórska, której bezgranicznie zawierzył, ocali go dla Kościoła w Ojczyźnie naszej. I nie zawiedliśmy się. Z jaką radością witaliśmy go wracającego z więzienia na Jasną Górę przed Cudowny Obraz Matki Bożej, w którą wpatrywał się oczyma pełnymi

łez. Miałem szczęście uczestniczyć w tym radosnym powrocie z delegacją naszych kleryków ze Skałki, których byłem wtedy rektorem i prefektem, a którzy codziennie błagaliśmy Boga o uwolnienie Ks. Prymasa. Znając mnie wcześniej, ks. Prymas z więzienia przesyłał przez tajnych posłańców na mój adres listy do o. generała Alojzego Wrzaliaka, w których była nie tylko cała koncepcja Wielkiej Nowenny oparta o Matkę Bożą i Jasną Górę, ale także sam Akt Milenijnego Zawierzenia Narodu Matce Bożej, w którym też nawet upoważniał o. generała do odczytania Aktu przed jasnogórskim szczytem, gdyby Episkopat nie podjął się tego. Ostatecznie wiemy, że akt ten odczytał w jego imieniu przed szczytem w uroczystość Matki Bożej Jasnogórskiej ks. bp Klepacz przewodniczący ad interim Konferencji Episkopatu. Mając tak głęboko w swoim sercu sprawę Kościoła i Ojczyzny, tak często wracał w rozmowach i modlitwach do tych spraw, które codziennie publicznie zawierzał Matce Bożej.

Pamiętam, jak chyba w 1972 roku, ks. Prymas przyjechał na Bachledówkę po powrocie z Rzymu i rozmowach z Ojcem Świętym. Promieniował radością, że Ojciec Święty Paweł VI wydał bullę „Totus Tuus Poloniae Populus” regulującą ostatecznie organizację kościelną na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Wziął mnie i o. generała Tomzińskiego na wierzch Bachledówki i długo tłumaczył nam doniosłość tego aktu, i ile on wymagał zabiegów Episkopatu Polskiego wobec opozycji Zachodu, aby ostatecznie Matka Boża Królowa Polski odniosła zwycięstwo. Jej bowiem zawdzięczał wszystkie osiągnięcia i zawierał wszystkie sprawy Kościoła i Ojczyzny, zgodnie z dewizą, którą zawarł w książce „Wszystko postawiłem na Maryję”. Pozostało chyba piękne kolorowe zdjęcie z tego spaceru po wierchu ks. Prymasa w dużym góralskim kapeluszu w naszym towarzystwie, które to zdjęcie przechowuję jako pamiątkę z tych niezapomnianych dni.

Trzeba bowiem pamiętać, że górale ofiarowali ks. Prymasowi na dzień imienin piękny góralski kapelusz, który miał go chronić przed słońcem, i ciupagę do obrony. Również niezapomniana, a zmarła już Marysia od Potocka corocznie robiła z góralskiej wełny piękne kolorowe kilimy jako pamiątki pobytu ks. Prymasa na Bachledówce. Kopię tych kilimów ofiarowywano zwykle też mnie i chowałem je z wdzięcznością na pamiątkę tych lat.

Górale chcieli z całego serca uprzyjemnić pobyt ks. Prymasa u siebie z nakładem nieraz wielkich kosztów i poświęceń. Jedno tylko nie udało się im, ale to nie z ich winy. Chcieli bowiem witać i żegnać ks. Prymasa uroczystą banderą kilkudziesięciu góralskich koni otaczających samochód ks. Prymasa, asystując mu aż do Poronina. Ten zamysł nie udał się jednak i później zaniechano go, auto bowiem pomknęło szybko naprzód, a uroczysta banderia pozostała w miejscu i nie mogła ks. Prymasowi asystować.

Trzeba podkreślić, że Bachledówka ma niekiedy w miesiącach letnich cudowną, słoneczną i ciepłą pogodę, a niekiedy, niestety, góry zasnuwa mgła, chmury płyną przez wierch, zasłaniając piękne widoki, siąpi deszczyk i dokucza dojmujący chłód. Ks. Prymas się w takich wypadkach nie zrażał; drewniane pomieszczenia Bachledówki były przytulne i suche, a on codziennie owijał się ciepłą peleryną i spacerował po lesie lub po wierchu. Jednak takie zimno odbijało się na jego zdrowiu. Opiekujące się nim lekarki z Instytutu obawiały się zwłaszcza o nerki ks. Prymasa, które dawały znać o sobie. Pamiętam jak musiałem jeździć z p. Stasiem jego kierowcą po Zakopanem i Rabce, i szukać wody mineralnej na sprawniejsze działanie nerek. Między innymi te klimatyczne zmiany i duża wysokość (ok. 1000 m n.p.m.), na którą reagowało serce, stało się powodem, że po kilku latach musiał ks. Prymas przenieść się na wakacje niżej, w okolice Wyszkowa (Gaj – Fiszor, dom sióstr samarytanek) i tam odpoczywać.

Wśród tej zmiennej górskiej pogody częstym i wzbudzającym grozę zjawiskiem były przechodzące nad wierchem burze z wyładowaniami i piorunami. Pamiętam, gdy pewnego dnia spożywając obiad w jadalni byliśmy równocześnie świadkami groźnej burzy z piorunami. W pewnej chwili nastąpił głuchy trzask, wszędzie zgasło światło, tak iż wydawało się, że chyba piorun uderzył w nasz dom. Wprawdzie były zainstalowane odgromniki na obu drewnianych domach, ale w naturze bywają wyjątki i czasem się dzieje coś wbrew zabezpieczeniom i oczekiwaniom. Jakież było nasze zdumienie, gdy po obiedzie wyszliśmy z ks. Prymasem na zewnątrz, a tam prawie całe nasze wzgórze zaścienione było olbrzymimi drzazgami rozłupanego świerka, w którego obok naszej ściany uderzył piorun i rozniósł go na drzazgi i strzępy. Trwogą i grozą przejmowała ogromna siła natury, której zwłaszcza tu, na wierchu, nic się nie mogło oprzeć, a pioruny wybierały sobie zwykle wysokie drzewa.

Nie zawsze jednak burze kończyły się tak bezpiecznie. Razu jednego przechodziła nad Bachledówką w dzień bardzo groźna burza. Gdy ją obserwowałem z okien willi, po pewnym czasie poniżej wierchu, w pobliskiej wiosce Czerwienne ukazał się wielki czarny słup dymu i doszły głosy wołające o pomoc w nieszczęściu. Płonęła zagroda góralska młodej miejscowej rodziny z kilkorgiem dzieci, której, niestety, w czasie tej burzy spłonęło wszystko. W górach jest to wielkie nieszczęście, często bowiem idzie z dymem pożaru cały dorobek życia i rodzina zostaje na pustym placu. Wzruszył się bardzo tym bolesnym faktem ks. Prymas i patrząc w tamtą stronę, gdzie pożar zniweczył wszystko, niemal ze łzami w oczach wezwał mnie do siebie, a wręczając znaczną sumę pieniędzy. Polecił zawieźć ją poszkodowanym, aby mogli choć częściowo zagospodarować się, zanim dostaną asekurację po pożarze. Jakaż była radość tej przygniecio-

nej nieszczęściem rodziny, że ktoś o nich pamięta i podaje im pomocną dłoń. Istotnie, wkrótce zaczęła ta rodzina budowę nowego domostwa, a po kilku miesiącach wybrała się dość liczna delegacja górali do ks. Prymasa do Warszawy, by mu za jego dobroć podziękować, a równocześnie zaprosić na Bachledówkę na najbliższe wakacje.

Ks. Prymas przyjął ich bardzo wzruszony. Rano byli wszyscy w jego kaplicy prymasowskiej na Mszy św., podczas której ja (podobnie jak bywało to na Bachledówce) usługiwałem, a górale śpiewali swe góralskie pieśni, których zawsze ks. Prymas na Bachledówce słuchał ze wzruszeniem. Po Mszy św. ks. Prymas zaprosił wszystkich na śniadanie. W jadalni prymasowskiej sam im usługiwał i obdarował upominkami. Ale oni nie byli dłużni; przywieźli ks. Prymasowi duży kosz z oscypkami, inne góralskie prezenty i pamiątki, przede wszystkim dwa małe góralskie owczarki, które biegały po apartamentach prymasowskich niemal tak odważnie jakby u siebie w domu.

Była w osobistym stosunku do ludzi u ks. Prymasa niezwykła pokora i wdzięczność. Nigdy nie zapomnę zdumiewającego mnie wydarzenia, gdy po Mszy św. w zakrystii uchwycił mocno w swe dłonie moją rękę i ucałował ją... Ośłupiałem, bo nie mogłem się obronić, a przecież świadom byłem swej kondycji zwykłego zakonnika przy nim – Prymasie Polski, dla którego każda usługa była przecież niezwykłym zaszczytem i powinnością. Takim on był w osobistym stosunku do ludzi – bezpośredni, rozbijający, przyjacielski. Toteż jego wdzięcznością za doznane usługi tłumaczę sobie późniejsze zaproszenie mnie na wakacje swoje do Gaju – Fiszora (gdzie wypoczywał w latach 1974 – 1978), choć nie byłem mu tam potrzebny, a chciał tylko w ten sposób odwdziżyć się za bachledowskie przysługi.

Wspominam to wszystko ze wzruszeniem. Bo przyznać się muszę, że ja, paulin, związany całym życiem z Jasną Górą i Matką Bożą, dopiero od niego uczyłem się prawdziwego nabożeństwa do Matki Bożej. On po prostu żył Nią, był z Nią duchowo złączony, przy każdej okazji mówił o Niej i powoływał się na Nią. Jej imieniem tchnęło każde przemówienie i Apel Jasnogórski, a nawet zwykłe rozmowy na różne tematy w powszednie dni. Gdy mówił o Niej, zauważyłem, jak jego wielkie niebieskie oczy zachodziły łzami; nie mógł ukryć wzruszenia, którego pełne było jego serce. Tego jego stosunku do Matki Bożej nigdy już nie zapomnę. Wdzięczny Bogu, że danym mi było znajdować się przez kilka lat w tej jego Maryjnej szkole życia i uczyć się prawdziwego nabożeństwa do Matki Bożej. Ale dodać trzeba, że tym przedmiotem jego szczególnego Maryjnego umiłowania był Jej Jasnogórski Obraz, przed Nim odprawiał swoje prymicje i Jej zawierał swoje wątle kapłańskie życie.

Może nie od rzeczy będzie wspomnieć, jak to jego zawierzenie Matce Bożej oceniali postronni. Razu jednego prosił mnie jeden z okolicznych proboszczów, abym zastąpił go na tydzień w posługach duszpasterskich na parafii, gdyż stowarzyszenie „PAX”, do którego należał i którego był sympatykiem, urządza dla zaprzyjaźnionych ze sobą księży wycieczkę autokarem do Czechosłowacji i Węgier, co w tamtych czasach było gratką nie lada. Wyczuwałem też, że chyba pod wpływem tego stowarzyszenia odnosił się do ks. Prymasa i jego programu duszpasterskiego z rezerwą, a nawet krytycznie.

Jakież było moje zdumienie, gdy po powrocie z wycieczki zawołał mnie do pokoju, zamknął za sobą drzwi na klucz (były to bowiem czasy, kiedy każdy bał się każdego, przekonany, że nawet ściany mają uszy) i ze wzruszeniem zaczął opowiadać mi o swoim „nawróceniu” do ks. Prymasa. Dopiero bowiem w Czechosłowacji i na Węgrzech usłyszał od tamtejszych księży, co my Polacy zawdzięczać winniśmy Prymasowi. Ze łzami w oczach mówili mu ci księża, jacy my jesteśmy szczęśliwi, że mamy Prymasa Wyszyńskiego, który nie wahał się iść do więzienia, ale nie pozwolił sobie odebrać punktów katechetycznych, nauki religii przy kościołach i dlatego ma kościoły wypełnione pobożnym ludem. Nam to wszystko odebrali komuniści – mówili ci księża – nie możemy prowadzić żadnego duszpasterstwa i szczęśliwy ten ksiądz, do którego choć jedno dziecko odważy się przyjść ukradkiem na religię do kościoła. Jacy wy jesteście szczęśliwi – mówili – bo macie Prymasa Wyszyńskiego – a my zostaliśmy sami... Mówił to do mnie ten proboszcz bardzo wzruszony. On wiedział, że ks. Prymas bywa na wakacjach na Bachledówce i może chciał, aby dowiedział się całej prawdy, jak wbrew wrogiej propagandzie oceniają go i czczą kapłani krajów sąsiednich.

Ale szczytem corocznych uroczystości związanych z ks. Prymasem był dzień jego św. Patrona (św. Stefana) przypadający w pierwszych dniach sierpnia. Już od dłuższego czasu przygotowywali górale na ten dzień pieśni, okolicznościowe deklamacje i przemówienia, składali dary ks. Prymasowi, a przede wszystkim swoje modlitwy. Modlili się zwłaszcza nie tylko w intencji ks. Prymasa, o jego zdrowie i błogosławieństwo Boże w kierowaniu Kościołem w Polsce, ale także o to, by w roku następnym mógł znowu ks. Prymas przybyć na Bachledówkę i darzyć wszystkich swoją błogosławioną obecnością. Byli bowiem bardzo dumni, że taki Dostojnik Kościoła wybrał sobie to wprawdzie piękne, ale jakże ubogie i zapomniane przez wszystkich miejsce i raczył wśród nich przebywać, a oni mogli uczestniczyć w jego Mszy św., w jego modlitwie, słuchać głoszonego przez niego Słowa Bożego i patrzeć na jego twarz, którą zwykle oglądać mogli na zdjęciach lub wyjątkowo w telewizji.

Wszystko to przechodziło ich najśmielsze oczekiwania, napępniało zrozumiałą dumą i wzbudzało głęboką wdzięczność Bogu i Matce Bożej za tę łaskę, której nawet w najśmielszych pragnieniach nigdy się nie spodziewali. Dlatego niemal każdego dnia gromadzili się tłumnie starsi, młodzież i dzieci, zapełniali kaplicę, a nawet kryli się przy górskich ścieżkach, by spotkać go choć i zobaczyć spacerującego wśród ich pól. Już wcześniej ćwiczyli śpiewy i deklamacje pod moim kierunkiem w domu p. Łackowej, nazywanej „Organisacją Bachledówki” (matki naszego ojca Mieczysława Łacka) i sami układali góralskie pieśni oraz deklamacje dzieci, aby jak najgodniej uczcić osobę ks. Prymasa i dzień jego św. Patrona.

Zwykle w tych imieninowych akademiach, organizowanych pod gołym niebem w lesie, brały także udział pobliskie zespoły folklorystyczne z Miętustwa i Ratułowa, zabawiając ks. Prymasa śpiewami, tańcami góralskimi w strojach regionalnych wraz ze swoimi kapelami muzycznymi i gawędami. Rozbrzmiewała wtedy Bachledówka muzyką i pieśnią, których to odludne pustkowia nie widziało i nie słyszało nigdy dotąd, zasłuchane w dostojne słowa ks. Prymasa, podziwiając przybyłych na tę uroczystość gości. Pamiętam, jak z tremą i drżeniem wygłaszali gazdowie imieninowe przemówienia m.in. Ignacy Skubisz (brat wspomnianej już Marysi od Potocka), Jan Jarosz (ojciec późniejszego naszego ojca Stanisława Jarosza) oraz Józef Tylka, jakże zasłużony dla Bachledówki, a dzieci rozpromieniały oblicze ks. Prymasa nieraz żartobliwą okolicznościową deklamacją albo piosenką. Zaludniała się wtedy Bachledówka mieszkańcami wsi okolicznych, Zakopanego, a nawet Nowego Targu, którzy otrzymywali od ks. Prymasa pamiątkowe obrazki i medaliki Matki Bożej, różańce i modlitewniki, a dzieci otrzymywały słodczyce i różne drobne upominki.

Pozostały po tych uroczystościach przepiękne, kolorowe zdjęcia oraz nagrania magnetofonowe wszystkich przemówień i pieśni, które zostawię chyba dla projektowanej przez obecnego proboszcza o. Janusza Kosaka Izby pamiątkowej, poświęconej osobie ks. Prymasa i kard. Karola Wojtyły, późniejszego Ojca Świętego Jana Pawła II i przybywających na ten dzień wybitnych gości.

Osobną kartą radości i zadowolenia wszystkich była ukochana osoba ks. kard. Karola Wojtyły, miejscowego arcybiskupa Krakowa, który krył się zawsze dyskretnie za postacią ks. Prymasa wysuwając go na czoło i darząc niebywałą czcią. Ale gdy się znalazł wśród nas, wiedzieliśmy z góry, że zarywać będziemy długie wieczory i noce, śpiewając z nim różnorakie pieśni, ballady harcerskie, góralskie piosenki na wzór kowbojskich ballad, śpiewanych przez niego w stylu country z towarzyszeniem gitary, na której grywał i prowadził melodię. Ileż on znał tych pieśni i ile zwrotek, nieraz nie wiadomo było, czy on powtarza znane sobie zwrotki pieśni, czy też sam tworzy zwrotki i śpiewa.

Aż wstyd mi przyznać, że my nie potrafiliśmy nieraz dotrzymać mu kroku w śpiewaniu i wielu z młodych udawało się na spoczynek, on zaś do końca pozostawał na posterunku, śpiewał, bawił i napełniał swoim barwnym barytonem góralski refektarz Bachledówki. Za to w dzień czekaliśmy z radością, aż stanie z nami do gry w siatkówkę i będzie nas wszystkich bawił słowem, pieśnią, niezmierną prostotą i bezpośredniością. Pozostanie w naszej pamięci nie tylko na zdjęciach, ale w umyśle i sercu niezatarte wspomnienie tamtych dni. Ależ on umiał się i modlić! Jakże często znikał w kaplicy i zasłaniając dłońmi twarz pogrążał się na długie chwile w osobistej modlitwie – rozmowie z Bogiem. Zdarzyło się, że po wyjeździe z Bachledówki ks. Prymasa, on pozostawał tu na skupienie na kilka dni. Choć normalnie uczestniczył w rekolekcjach Episkopatu, to jednak dla każdego, kto znalazł się na tym wierchu, zdawało się, że znajduje się bliżej nieba.

Opowiadała mi później s. Ottona, że po Mszy św. i jego dłuższym dziękczynieniu weszła do kaplicy zaprosić ks. kardynała na śniadanie. Odeszła z niczym; ks. kardynał bowiem rozpoczął odprawiać swoją Drogę Krzyżową przy wyrzeźbionych przez górali stacjach Bożej męki. Gdy po godzinie nie przychodził, zaglądnęła znów do kaplicy, by się przekonać, że ks. kardynał odprawia nadal Drogę Krzyżową. Ta jego Droga Krzyżowa trwała do samego południa. Można to zapewne tłumaczyć jego przyzwyczajeniem odbywanych tak często drózek kalwaryjskich, ale ja równocześnie wiem, że był to człowiek kontemplacji, wychowany na dziełach św. Jana od Krzyża i jego religijnej mistyce.

Albo inny fakt. Sprzątając pokoje gości ta sama s. Ottona opowiadała mi później, że rano zastała łóżko ks. kardynała nie tknięte. Spał widać na podłodze, uznając to miejsce za najodpowiedniejsze dla siebie, w przedziwnej, a znamienującej go pokorze franciszkańskiej.

Niektórzy później mówili, że ks. kardynał przyjeżdżając na Bachledówkę po skończonych wakacjach na jeziorach mazurskich nabawił się tam zapalenia korzonków i najlepiej by było, jak żartowały na ten temat lekarki Instytutu, by zgodnie z zasadami ludowej sztuki lekarskiej, „wyprasować” obolałe plecy ks. kardynała gorącym żelazkiem, a wszystkie dolegliwości ustąpią. Chyba jednak nie było takiej potrzeby, skoro bez tych zabiegów ks. kardynał wstawał rano wypoczęty i rażno meldował się do rozgrywania kolejnych setów siatkówki.

Tak to upływały niezapomniane dni wakacji na Bachledówce w obecności ks. Prymasa Wyszyńskiego, przy jego osobistym zaangażowaniu w tworzenie klimatu tych wakacji przez wskazania homiletyczne, studia i dyskusje, spacer i zabawy, ale przede wszystkim poprzez wspólną modlitwę brewiarzową i różańcową i ciągłą niemal obecność wśród nas Matki Bożej. Poszczególne osoby lub grupy osób wybierały się od czasu do czasu na górskie wycieczki w Tatry,

by po powrocie dzielić się z nami a także z ks. Prymasem, który był duszą i sercem zespołu, całym bogactwem wrażeń i przeżyć.

Bywały dni, kiedy same góry jakby przybliżały się do nas i zagładały nam w oczy. Działo się to zwykle przed zmianą pogody, nadchodzącym wiatrem halnym i deszczem, kiedy wydawało się, że można jednym krokiem przenieść się do Zęb lub Gubałówki i wejść na tatrzańskie ścieżki, rozkoszując się urokiem gór. Wychodził też z nami wtedy na wierch ks. Prymas i podziwiał cuda natury. My, ludzie z nizin, mawiał, mamy teraz w obliczu gór okazję duchowej regeneracji.

Przypominał się wtedy mimo woli Sabała, który zawsze, gdy czuł w kościach zbliżającą się chorobę, brał suchy prowiant do torby i niezależnie od pory roku wędrował samotnie na turnie, by tam na górskich ścieżkach, jak mawiał, „chorość wyganiać”. Po tygodniu wracał do swoich, szerniały i wychudzony, ale promieniujący radością i zdrowiem. Góry bowiem mają to do siebie, że nie tylko urzekają i zachwycają, ale także uspokajają duszę ludzką i leczą. Toteż godzinami kontemplowaliśmy ich piękno, przekomarzając się między sobą z uporem, że słowackie szczyty tatrzańskie Krywań i Hawrań zmieniają codziennie swoje położenie i ukazują się z innej strony.

Takie to przeżycia wakacyjne z Bachledówki, w bliskości obecnego z nami zawsze ks. Prymasa, pozostały w naszych duszach i sercach na całe życie. Przeminał bowiem bezpowrotnie czar Bachledówki z tamtych lat.

Ks. kardynał Macharski erygował na prośbę górali w Czerwiennem małą parafię, a sami górale wywiązując się z obietnic dawanych na imieniny ks. Prymasowi, wybudowali asfaltową drogę na sam wierch, a nawet wspaniały kościół – pomnik w stylu góralskim, którego wieża mknie w niebo, uskrzydla wszystkich na pamiątkę pobytu ks. Prymasa Wyszyńskiego oraz Karola Wojtyły Ojca św. Jana Pawła II. Nic dziwnego, że niemal każdego dnia przybywają tu teraz autokary z pielgrzymkami i turystami z całej Polski, a nawet z zagranicy i wypytyują o pamiątki po ks. Prymasie i po odwiedzającym kiedyś to miejsce Ojcu św. Wpisują się równocześnie do pamiątkowej księgi. Ojciec proboszcz organizuje także poświęconą tym dwom wielkim postaciom Izbę pamięci.

Nie ma już wysokich świerków i boiska niezapomnianej siatkówki; cały teren włączony bowiem został w ogrodzenie kościelne. Nie ma też starego domu gospodarczego, który zamieszkiwali goście wakacyjni. W jego miejsce powstał murowany, obszerny dom rekolekcyjny. Przybywają bowiem liczne grupy pielgrzymów, by na wzór Ojca Świętego zadumać się nad sobą na wierchu i porozmawiać z Bogiem.

Pojawił się też w pobliskim lesie mały cmentarzyk parafialny, zwrócony na Ostrysz i na Zachodnie Tatry. Powoli zapełnia się on coraz bardziej ludźmi,

którzy kiedyś bronili tego miejsca i wznosili zabudowania, orędując u Boga, aby mogli tu mieć parafię. Znajduję też pośród grobów tylu przyjaciół, a zwłaszcza budowniczego kościoła i pierwszego proboszcza parafii, zmarłego młodo z wysiłku o. Edmunda Krynickiego. Jest też grób małej Krysi Jamrych, córki byłej kierowniczki miejscowej szkoły, która pierwsza jako mała dziewczynka głosiła wiersz Prymasowi, a która idąc do Nowego Bystrego na nauki przed pierwszą Komunią Świętą dostała udaru mózgu i ciężko zachorowała. Rodzice jej użyli wszystkich środków, ja sam przywoziłem jej lekarstwa z Warszawy, by tylko o kilkanaście lat przedłużyć jej młode życie. Wszyscy oni razem ze swoim pierwszym proboszczem proszą przechodniów o modlitwę i oczekują dnia zmartwychwstania. Stają przed moimi oczami ich znajome, rozmodlone twarze, kiedy nie tylko w kaplicy, ale także nawiedzając ich domy z wędrującym po rodzinach Obrazem Jasnogórskim, głosiłem w zatłoczonych góralskich izbach maryjne konferencje i odmawiałem z nimi różaniec św.

Dał mi też Bóg łaskę przemierzyć z rekolekcjami maryjnymi pobliskie miejscowości na zaproszenie nieżyjących już dzisiaj ich proboszczów: Poronin, Zakopane i Kościelisko, Ząb, Nowe Bystre, Maruszyń i Miętustwo... Niech ci, którym głosiłem słowo Boże i usłużyłem sakramentami, odpoczywają w pokoju. Wydaje się, że ziarno, które tu z taką obfitością zasiewali w góralskie dusze wielcy ludzie – ks. kardynał Wyszyński i Ojciec Święty – wydały już swoje błogosławione owoce. Z tak bowiem małej parafii, jaką jest Bachledówka, wyszło i pracuje w naszym zakonie aż trzech kapłanów (o. Stanisław Jarosz, o. Jan Bednarz, o. Mieczysław Łacek), nie licząc braci i siostr zakonnych. A przecież to dopiero początek, ci wielcy bowiem apostołowie naszego czasu promieniować będą w życiu i duszach ludzkich na przyszłość.

Tak to jawią się w mojej pamięci niezatarte wspomnienia niezapomnianych wakacji na Bachledówce z ks. Prymasem Wyszyńskim i głębokie przeżycia, którymi nie tylko dla niego, ale i dla mnie były góry... Wracają one do mnie nieraz z wielką natarciwością w tych kończących się już powoli latach mojego życia. Wiele bowiem przewędrowałem górskich ścieżek, dolin i wierchów, wsłuchany nieraz w bezmiar milczenia skalistych ścian i tę przejmującą ciszę gór, od której bolą uszy... Ileż to razy przemierzałem te same szlaki, znajdując na nich zawsze coś nowego i odczytując na nowo ich stare twarze.

Ale dzisiaj po latach, gdy staję się coraz bardziej niedołężny, oprócz ucałowania ziemi mojej umiłowanej Bachledówki, po której przecież chodzili święci, chciałbym jeszcze podparty łaską usiąść na stopniach Kasprowiczowskiej „Harendy”, poczuć zapach kwitnących tam nasturcji z macierzankami i zadumać się nad strofami „Księgi ubogich”...

Chciałbym też jeszcze jeden raz powędrować doliną Malej Łąki, u której kresu otwiera się nagle szerokie okno na niebo i na zalane słońcem Czerwone Wierchy...

Chciałbym... choć dobrze wiem, że w rękę Boga jest los człowieczy... Tyle już otrzymałem od Niego niezasłużonych darów i łask, wśród nich i ten bezcenny, że dane mi było na drodze mojego skromnego życia zetknąć się ze świętymi i posługiwać świętym. Wielkim świętym tych naszych trudnych czasów. Wszak ks. kardynał Wyszyński jest już ogłoszony Sługą Bożym i kandydatem na ołtarze, a Ojciec Święty, ten największy człowiek naszych czasów jest niekwestionowanym świętym naszego wieku.

Ufam bowiem i wierzę, że ten który wszystko postawił na Maryję, który Jej jasnogórski wizerunek rozdawał na Soborze Ojcom Soboru z całego świata, a z nimi powędrował już do wszystkich katedr, wyniesiony zostanie też na ołtarze całego świata, by prowadzić współczesną rodzinę ludzką per Mariam – Soli Deo, przez Maryję do Boga, zgodnie z powtarzanym tak często przez niego testamentem swojego poprzednika prymasa Hlonda: „A zwycięstwo, gdy przyjdzie, będzie to zwycięstwo Maryi rozumiane nie tylko w skali Polski, ale i uniwersalnej – całego świata...” Wszak Ojciec Święty Jan Paweł II gdzie tylko pielgrzymuje, wszędzie zawiera Matce Bożej poszczególne kraje i kontynenty – pielgrzymujące z ich Ludem Bożym do niebieskiej Ojczyzny przez Tę, która jest nadzieją i ratunkiem skołatanej dziś rodziny ludzkiej.

Nie przestanę też dziękować Bogu za ten bezcenny dar, że mogłem od młodości i przez całe moje życie związać się ślubami z Jasną Górą i królującą tam Matką Bożą, dostępując dostojności „sługi w Kanie”, który napelnia stągwie wodą przed jej cudowną przemianą w niepojętej i nigdy niezgłębionej mocy, otrzymanego od Boga za darmo Kapłaństwa Chrystusowego. Bogu niech będą dzięki...

Wspomnienia ks. prałata Zdzisława Peszkowskiego

Tak ks. Zdzisław Peszkowski wspomina te chwile wspólnego odpoczynku na stronach książki pt. „Ojciec”:

Ogromną radością jest przebywanie z Ojcem w Bachledówce, w domu ojców paulinów, wysoko w górach, koło Zakopanego. Jest to urocze miejsce na szczycie potężnego wzniesienia, skąd roztacza się cudowny widok na całą panoramę Tatr, Czerwone Wierchy, Giewont, Kasprowy, Świnicę, w głębi Rysy, aż po słowackie szczyty: Lodowy, Hawrań, Murań i Łomnicę. Patrząc na północny wschód przy dobrej pogodzie można dostrzec szczyty Pienin – Trzy Ko-